

Nałęcz, Daria

Belwederski zagończyk (Wojciech Stpiczyński)

Kwartalnik Historii Prasy Polskiej 31/3-4, 126-135

1992

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

DARIA NAŁĘCZ

BELWEDERSKI ZAGOŃCZYK (WOJCIECH STPICZYŃSKI)

Odszedł przedwcześnie, mając lat zaledwie czterdzieści, kiedy zwykle rozpoczynają się dopiero wielkie polityczne kariery. Zdążył jednak poznać smak sukcesu. Nie obca mu też była gorzycz porażki i upadku. Wprawdzie nie piastował najwyższych w Rzeczypospolitej godności, ale w obozie piłsudczykowskim, z którym związał się na złe i na dobre, blichtr dostojeństw nie decydował o rzeczywistym prestiżu. Działał zresztą na niwie, na której wielkości nie da się określić stanowiskiem, stosownym tytułem czy orderem. Jej istotną miarę stanowi bowiem zainteresowanie czytelników. To zaś towarzyszyło mu nieodłącznie. Jedni całkowicie identyfikowali się z jego pisarstwem, inni go nienawidzili. Ale z pewnością obca mu była najdokuczliwsza dla dziennikarza – obojętność opinii. Nie przyciągał głębią myśli. Nie należał do grona kapłanów obozu, wypracowujących jego ideologię. Walczył w pierwszym szeregu. Więcej nawet. Śladem dawnych zagończyków wyprzedzał ścierające się armie politycznych adwersarzy, częstokroć samotnie uderzając na nieprzyjaciela. Płacił za to wysoką cenę. Żaden ze zwolenników Marszałka nie stawał równie często, jak on, przed sądem, oskarżony o obrazę. Godzono zresztą w niego nie tylko paragrafami. Zmuszony był również do dawania wrogom satysfakcji z bronią w rękę. Należał bowiem do wąskiego grona publicystów II Rzeczypospolitej, którzy z racji ostrości polemicznych wystąpień, nie mniej sprawnie jak piórem musieli posługiwać się pistoletem i szablą. Poświęcił się dziennikarstwu bez reszty, zaniedbując dlań zdrowie, życie osobiste, w pewnym sensie polityczną karierę. Jedno tylko uczucie dorównywało tej pasji. Oddanie Piłsudskiemu.

Związał się z Komendantem we wczesnej młodości. Urodzony w 1896 r. w Warszawie, należał do drugiego już pokolenia, wykorzystywanego przez Piłsudskiego do realizacji programu niepodległościowego. Podobnie jak inni z tego kręgu zetknął się z czynem wyzwoleniczym przez formacje militarne – Polską Organizację Wojskową i Legiony. Służba Polsce oznaczała dlań przede wszystkim spełnienie powinności wojskowej. Odmienna to była droga od tej, którą podążali dawni współpracownicy Piłsudskiego, wiążący narodowe aspiracje z poruszeniem klasy robotniczej i pracujący dla osiągnięcia tego celu w szeregach Polskiej Partii Socjalistycznej.

Może więc dziwić, że później, w odrodzonej już Polsce, właśnie Stpiczyński, człowiek pozyskany dla obozu oddziaływaniem narodowego nie społecznego impulsu, stanie się czołowym wyrazicielem demokratycznych, egalitarnych tendencji. Teoretycznie poglądy takie bardziej pasowały do dawnych piłsudczykowskich rewolucjonistów z PPS. W rzeczywistości jednak socjalistyczna genealogia wcale nie przesądzała późniejszych postaw. Pepeesowscy nestorzy ruchu zagubili młodzieńcze ideały w czasie długiego marszu ku Polsce, wymagającego najdziwniejszych kompromisów.

Stpiczyńskiemu obca była ta ideowa ekwilibrystyka. Wyruszał na wojnę jako człowiek o nie ukształtowanych jeszcze poglądach. Młodzieńczy patriotyzm całkowicie zastępował chłodne polityczne kalkulacje.

W 1915 r., mając 19 lat, trafił do podziemnej POW. W konspiracji uczył się wojennego rzemiosła. Jednocześnie, po skończeniu gimnazjum, podjął studia na Politechnice Warszawskiej. Nie zamierzał bowiem zostać zawodowym wojskowym. Zgłębiał tajniki architektury. Wszak należał do pokolenia, któremu marzyła się Polska „szklanych domów”.

Tymczasem jednak bardziej niż nauka pochłaniała go polityka. W 1917 r. należał już do grona kierującego w Warszawie akademickim ruchem niepodległościowym. Z tej racji został też w lipcu 1917 r. aresztowany w ramach szeroko zakrojonej antypiłsudczykowskiej akcji represyjnej. Początkowo Niemcy zarzucali mu przygotowywanie zamachu na generał-gubernatora Beselera. Z braku dowodów nie został jednak postawiony przed sądem. Ale nie odzyskał też wolności. Internowano go w Szczypiornie, potem Havelbergu, Modlinie. Dopiero galopująca gruźlica otworzyła mu bramy więzienia. Latem 1918 r. wrócił do Warszawy na przerwane aresztowaniem studia. Ale tuż po wznowieniu ponownie je porzucił. Po rozbrojeniu okupantów, w listopadzie 1918 r., znalazł się wśród organizatorów studenckiej formacji wojskowej – 36 pułku piechoty Legii Akademickiej. Z nim też, jako dowódca plutonu, wyruszył na front. Nie walczył długo. Już w czasie jednego z pierwszych starć z Ukraińcami, pod Gródkiem Jagiellońskim, został ciężko kontuzjowany pociskiem gazowym. Po długiej kuracji wylizał się z ran. Stracił jednak oko; m.in. dlatego nie wrócił już do pierwszej linii. Ale nie był to jedyny powód. Sytuacja ustabilizowała się bowiem na tyle, że wódz nie musiał już rzucać do okopów najbardziej ofiarnych i najwierniejszych mu żołnierzy. O wiele bardziej potrzebni byli na tyłach, w centrali.

W styczniu 1920 r. skierowany więc został podporucznik Stpiczyński do II Oddziału Sztabu Generalnego. Miał poznawać najskrytsze tajemnice armii. Szybko uczył się nowych umiejętności i po kilku miesiącach objął stanowisko szefa Wydziału Plebiscytowego dla Górnego Śląska w Ministerstwie Spraw Wojskowych. Przedtem jednak, w momencie największego zagrożenia, wrócił na własną prośbę do macierzystego pułku i walczył wraz z nim od sierpnia do października 1920 r. na pierwszej linii frontu. Odwagi nigdy mu nie brakowało, o czym świadczył Krzyż Orderu Virtuti Militari i dwukrotnie nadany Krzyż Walecznych.

Po powrocie do sztabu, w ramach nowych obowiązków organizował i kierował z ramienia Ministerstwa Spraw Wojskowych Polską Organizacją Wojskową Górnego Śląska, przygotowując wybuch kolejnego, trzeciego już powstania. Po rozpoczęciu walki, w maju 1921 r., otrzymał specjalny mandat od prezesa Rady Ministrów, upoważniający go do reprezentowania rządu przy politycznym kierownictwie powstania. Znowu jednak nie wytrzymał przy biurku, często wyrывая się do walczących oddziałów. Nad sprawami śląskimi czuwał aż po czerwiec 1922 r., kiedy oficjalnie ziemie te włączone zostały w granice Rzeczypospolitej.

W II Oddziale Sztabu Generalnego, którego oficerem cały czas pozostawał, nie zlecono mu już nowych obowiązków. Rozkazem z 4 lipca 1922 r. zwolniony został z wojska i w stopniu porucznika przeniesiony do rezerwy. Jednym z powodów zrzucenia munduru była coraz bardziej niszcząca płuca gruźlica. Ale nie tylko. Cały kraj, a wraz z nim obóz belwederski, przestawiał się na tory pokojowej stabilizacji. I choć nadal liczyły się wpływy w armii, to wyłącznie na nich nie można już było budować politycznych aspiracji. Szczególną rolę w pozyskiwaniu społecznego poparcia odgrywała prasa i na nią też zwrócili w tym okresie piłsudczycy baczniejszą uwagę.

Z tych też zapewne względów przed Stpicyńskim otworzono drogę kariery dziennikarskiej. Trudno dociec istotnych korzeni tej decyzji. Przyszłość potwierdziła całkowicie jej zasadność, ale w momencie podejmowania niewiele było argumentów przemawiających za takim posunięciem. Młody oficer nie stykał się do tej pory z pisaniem i redagowaniem gazety. Nie miał okazji nauczyć się tych czynności, jak inni jego koledzy, ani w czasie działań niepodległościowych, ani w trakcie służby wojskowej. Wprawdzie niejednokrotnie już udowodnił, że uczy się łatwo i można na nim polegać, ale z tymi rekomendacjami równie dobrze mógł wykonywać każdy inny zawód.

Został jednak dziennikarzem i błyskawicznie, dzięki niepospolitym talentom i odwołującej się do skandalu metodzie zyskiwania popularności, poznała go cała Polska. Związał się z istniejącym od grudnia 1921 r. tygodnikiem „Głos” i bardzo szybko całkowicie się z nim utożsamił. Opinia ta okazała się na tyle trwała, że po latach padli jej ofiarą najsumienniejsi historycy prasy, uznając go za założyciela i pierwszego redaktora pisma. Tymczasem był nim, znany zwłaszcza w środowisku sympatyzującej z piłsudczykami inteligencji, Tadeusz Szpotański, człowiek bliski Marszałkowi, ale choćby z racji powiązań z PPS nie do końca dyspozycyjny.

Pierwszy tekst Stpicyńskiego pojawił się w 44 numerze „Głosu” z 2 grudnia 1922 r. Jak zwykle na początku bywa, nie dotyczył spraw wielkich, choć wyraźnie zdradzał ideową osobowość autora. Potępiał rozwijającą się polityczną ofensywę endecji i propagowaną przez nią zasadę numerus clausus.

Wkrótce jednak zaszły wydarzenia, które raczkującego dopiero publicystę rzuciły w najgłębsze wiry walki politycznej. Krajem wstrząsnęła fala endeckiej anarchii towarzysząca wyborowi Gabriela Narutowicza na stanowisko pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej. W tej atmosferze, a zwłaszcza po doko-

nanym w Zachęcie mordzie, popierająca prezydenta lewica, a wraz z nią piłsudczycy przygotowywali się do decydującej rozgrywki o władzę. Podobno w najbliższym otoczeniu Marszałka myślano o przewrocie i sprawieniu przeciwnikom krwawej łaźni.

Nastrój rozgorączkowanej stolicy przypominał linię frontu. Stpiczyński czuł się jak ryba w wodzie. Bezbarwne do tej pory teksty, dosłownie z dnia na dzień, przybrały formę manifestów, poprzedzających rozstrzygające starcie.

„Nie może być mowy o spokoju w państwie — pisał 23 grudnia w *Szale zbrodniarzy* — gdzie łajdakom dozwolone jest każde łotrństwo, a kagańce istnieją jeno dla uczciwych i karnych obywateli. Jeśli ksiądz Lutosański nie zasiądzie na ławie oskarżonych, społeczeństwo pozostanie w smutnym położeniu bezlitośnie prowokowanych, którzy sami muszą wymierzać sobie sprawiedliwość”.

Główny obiekt tego ataku, ks. Lutosański, należał do grona polityków i publicystów najostrzej szkalujących Narutowicza. Co więcej, nie oszczędził też Piłsudskiego, publikując w tych dniach artykuł zarzucający mu pozostawanie na usługach międzynarodowej, żydowskiej finansjery.

Miał więc Stpiczyński powody do zdenerwowania. Nie działał jednak w afekcie. Chwyty zastosowane w *Szale zbrodniarzy* odnaleźć bowiem można w wielu późniejszych jego tekstach. Najwyraźniej pokochał personalne atakowanie przeciwnika, brak umiaru w formułowaniu zarzutów, straszenie użyciem fizycznej przemocy.

Na stałe też w charakterze bohaterów negatywnych zagościli na łamach „Głosu” duchowni, co niektórzy historycy skłonni są tłumaczyć powiązaniem pisma z masonerią. Nie wydaje się jednak, by był to trop właściwy. Wprawdzie Stpiczyński należał do loży „Prawda”, jednej z pierwszych, jakie powstały w odrodzonej Polsce i funkcjonującej co najmniej do końca lat dwudziestych, ale z tego nie można wyciągać zbyt daleko idących wniosków. Dojść bowiem można do konstatacji, którą sformułował główny badacz wolnomularstwa II Rzeczypospolitej, Leon Chajm, twierdząc, że „Głos” był nieoficjalnym organem wolnomularzy, a jego pierwsze pióro — jednym z najwybitniejszych rzeczników masonerii.

Trudno o większe nieporozumienie. Stpiczyński i kierowane przezeń pismo służyli jednej tylko sprawie — pomnożeniu wpływów, a w perspektywie politycznemu zwycięstwu obozu belwederskiego. By ten cel osiągnąć, należało osłabić i usunąć najpoważniejszą zawalidrogę — endecję, z którą sympatyzowała znaczna część duchowieństwa. Działania takie mile były widziane przez masonerię, stąd bliska wówczas współpraca objawiająca się m.in. licznymi akcesami piłsudczyków do łóż. Nie można jednak pomylić skutku z przyczyną. To nie wolnomularstwo pozostawało dla Stpiczyńskiego i wielu jego politycznych przyjaciół centralnym punktem odniesienia. Od dawna w gronie tym obowiązywał jeden tylko autorytet — wola i zdanie Komendanta.

Więź spajająca piłsudczyków miała specyficzne zabarwienie. Dzięki niej obóz belwederski bardziej przypominał grono pretorian bezgranicznie odda-

nych wodzowi niż ruch polityczny, cementowany dogmatami wyznawanej ideologii. W tej sytuacji sympatie ideowe zwolenników Marszałka biegly w różnych kierunkach, zgodnie z ich osobistymi wyborami.

W owym wachlarzu postaw i przekonań Stpiczyński wyróżniał się radykalizmem i postępowością. Nie był bynajmniej człowiekiem lewicy. Nie identyfikował się z programem żadnego stronnictwa. Co więcej, ugrupowaniom lewicowym wiele miał do zarzucenia. Krytykował je za nieudolność, za niekonsekwentne zwalczanie prawicy i sankcjonowanego przez nią zła. Przepowiadał odwrócenie się mas od tak ślamazarnie poczynających sobie przywódców.

Był swego rodzaju radykałem — wolontariuszem, podążającym własnymi ścieżkami i nie znoszącym żadnej ideowej ortodoksji.

W czasie wojny i walk o niepodległość myślał tylko o Polsce. Jawiła mu się ona jako matka sprawiedliwa dla wszystkich. Innej sobie nie wyobrażał. Tymczasem coraz bardziej wyglądało zewsząd zło, krzywda i wyzysk. Młody publicysta nie zamierzał się z nimi godzić. Nie nawykł przecież do kompromisu. Młodzieńczy ideał — niepodległość — spełnił się w całej rozciągłości. Teraz nadszedł czas wytępienia zła, zachwaszczającego Rzeczpospolitą.

Jego głównego źródła dopatrywał się Stpiczyński w egoizmie rządzących, którzy rekrutowali się z partii Piłsudskiemu nieprzychylnych. Szczególnie ostro atakował, już jako pełnoprawny wydawca i redaktor „Głosu”, utworzony w maju w 1923 r. centrowo-prawicowy rząd Chjeno-Piasta. Pisał w numerze z 2 czerwca: „Po jednej stronie znajduje się idea Polski mocarstwowej, idea poświęcenia, idea demokracji — upostaciowione w geniuszu Józefa Piłsudskiego; po drugiej prywatna, warcholstwo, pasja wyzysku, kramarstwo polityczne i sklepikarstwo moralne pod wodzą Witosa. Trzeciego stanowiska nie ma. Trzeba się zdecydować. Czas nagli”.

On, rzez jasna, wybrał już dawno. Teraz wysunął się na pierwszą linię walki. By to zmanifestować, zmodyfikował nawet tytuł pisma — na „Głos Opozycji” (23 czerwca), potem na „Głos Prawdy” (15 IX 1923). Wytrwał, zadając bezlitośnie ciosy i samemu przyjmując bolesne uderzenia, przez blisko trzy lata. Nielatwy to był okres.

„Ciężkie czasy nastają dla piłsudczyków — pisał w »Naszym Przeglądzie« Bernard Singer. — O armii, o Legionach, wszyscy zapomnieli, bożkiem Polski staje się Władysław Grabski, który ustabilizował walutę na 5,18 zł za dolar. Generał Sikorski jest ministrem wojny, szeregi Piłsudskiego rzedną, opuszcza go częściowo PPS, chwieją się wyzwolenicy. Wierny stoi przy nim ze szczupłą garstką, jak go potocznie nazywają w Astorii, Ziemiańskiej, Oazie — Wojtek. Walczy w »Głosie Prawdy«, szarpie, dyskredytuje przeciwników, wgrzyza się w PPS, oskarża wszystkich generałów, którzy są wierni Sikorskiemu, i walczy nie tylko piórem, lecz i szablą. Odbywa dziesiątki pojedynków z powodu swoich artykułów, m.in. pojedynkę z ministrem wojny, świetnym duelistą, gen. Szeptyckim. Ma przeciwko sobie setki procesów z powodu zniewazenia Witosa, Kiernika i wszystkich władców doby parlamentarnej. Wiecznie wesoły,

pogodny, radykalny, pociesza się nadzieją, że gdy Dziadek dojdzie do władzy, to oni »radykałowicie« obliczą się z endekami. Nigdy nie tracił otuchy i męstwa. Siedział w Astorii przy jednym stoliku z Wieniawą Długoszowskim, z poetami Młodej Polski, resztkami I Brygady i publicznie marzył o pięknych dniach, jakie mogą nadejść. Tymczasem były to ciężkie dni. Gazetę skonfiskowano. Z utrzymaniem było krucho. Liczba awizacji sądowych, kar administracyjnych rosła z każdym dniem. W owych dniach Wojtek był radykalny. Rozdzielał federacje, autonomię, posady wiceministrów dla mniejszości narodowych. [...] Był kochanym przyjacielem, miłym kolegą — słowem był »dobry Wojtek«.

Ale nie dla wrogów. Tych gromił nieodmiennie, nie bacząc na nic i do porządku dziennego przechodząc nad dobrymi manierami oraz rzeczywistą wymową poruszanych faktów. Zwalczających Piłsudskiego publicystów — Kazimierza Lutosławskiego, Jana Zamorskiego, Stanisława Strońskiego, Władysława Rabskiego, Adolfa Nowaczyńskiego — nazywał „ulicznikami ukrywającymi za pazuchą grudę błota, kamień lub zatruty sztylet”. Nie mniej obraźliwie wyrażał się o generałach, nie uznających autorytetu samotnika z Sulejówka. Pisał o nich jako o „austriackiej gangrenie”, indywidualnie obdarzając szczegółowymi zarzutami: tchórzostwa w przypadku Szeptyckiego, zdrady narodowej w odniesieniu do Zagórskiego. Nie zaniedbywał też drobnych złośliwości, konsekwentnie przerabiając nazwisko generała Franciszka Latinika na Latrinik.

Nie uchodziło mu to bezkarnie. Odnosił rany w pojedynkach, m.in. dotkliwie ciął go szablą gen. Szeptycki. Stawiany przed sądem, skazywany był na kary pozbawienia wolności. Nie dbał o to, wykorzystując ławę oskarżonych jako mównicę. W gronie kolegów zyskiwał sobie, rzecz jasna, coraz większe uznanie. Ceniono jego poświęcenie, zaangażowanie, ofiary ponoszone w imię wspólnego celu, chociaż zdawano też sobie sprawę, że często nadmiernie przeciąga strunę. „Dworujemy sobie z niego — pisał January Grzędziński — trudno jednak, by przy tak wybujałym temperamencie mógł Wojtek uniknąć niedociągnięć, za które ma potem... pociągnięcia [przed sąd — D. N.]”.

Popularności i wyrazom uznania ze strony legionowej braci towarzyszyło umocnienie rzeczywistej pozycji w łonie obozu i wejście do najbliższego otoczenia Marszałka, bezpośrednio przez niego instruowanego i realizującego jego polecenia.

Miarą wywalczonej pozycji było powierzenie Stpiczyńskiemu w przełomowych dniach zamachu majowego odpowiedzialnego zadania zorganizowania i prowadzenia kwatery prasowej rebeliantów. W tych dniach promieniał. Skończył się bowiem męczący okres wojny podjazdowej. Marszałek przystąpił do gromienia wrogów z otwartą przyłbicą. Wypowiadał przy tym słowa, jak gdyby wyjęte z wcześniejszych tekstów „Głosu Prawdy”: „Nie może być w państwie za wiele niesprawiedliwości względem tych, co pracę swą dla innych dają, nie może być w państwie — gdy nie chce ono iść ku zgubie — za dużo nieprawości.”

Komendant złożył to oświadczenie w nocy z 12 na 13 maja, pierwszy i ostatni raz spotykając się z dziennikarzami w zorganizowanej przez Stpiczyńskiego placówce, i kto wie, czy to właśnie nie ówczesny „minister propagandy” przesądził o konkretnym kształcie tej enuncjacji. Nie można takiej ewentualności wykluczyć, zwłaszcza że nigdy przedtem i później Marszałek takimi słowami już się nie posługiwał.

Nie ominęły też redaktora „Głosu Prawdy” splendor i zaszczyty, które spłynęły po wiktorii na głównych jej bohaterów i autorów. W lipcu 1926 r. tygodniowe do tej pory pismo przekształcone zostało na dwa niezależnie wydawane, choć opatrzone tym samym tytułem, organy: tygodnik i dziennik. Ten ostatni stał się głównym reprezentantem majowych tryumfatorów. Bezpowrotnie skończyły się chude lata. Hojnie posypały się subwencje rządowe. Pieniądze płynęły również z kół finansjery i ziemiaństwa.

Ale nie o pieniądze dostatki dbał Stpiczyński najbardziej. Liczyły się o tyle, o ile pozwalały na dalszy rozwój gazety. Ta z kolei niezbędna była dla kontynuowania działań podejmowanych w służbie Marszałka.

Nadal, właściwie bez opamiętania, pluł redaktor „Głosu Prawdy” na przeciwników ukochanego wodza. „Rozfanatyzowany szaleniec — pisał o pełnym godności zachowaniu się prezydenta Wojciechowskiego — nie zdający sobie sprawy z konsekwencji wypowiedzianych słów i popełnionych czynów. [...] Wydał on odezwę do wojska, inaugurującą bratobójczą walkę. [...] Nie skorzystał ani razu z dawanych przez Marszałka możliwości porozumienia”. Brutalne, całkowicie pozbawione taktu były to słowa, tym bardziej że zaatakowany nie mógł się bronić. Ale ich autor zdawał się nie dostrzegać, że ze ściganej przed majem zwierzyny przedzierzgnął się w myśliwego, i to polującego z olbrzymią nagonką, właściwie nie dającą żadnych szans obiektom napaści.

„Głos Prawdy” szarpał wszystkich, których sanacja skazała na polityczne unicestwienie. Zarzucał finansowe malwersacje kierującym oporem w maju 1926 r. generałom: Rozwadowskiemu, Zagórskiemu, Żymierskiemu, Jaźwińskiemu. Potępiał Sejm za niedość powolną służbę Marszałkowi. Nie cofał się przed prowokacją, by wspomnieć zamieszczony 28 stycznia 1927 r. artykuł *Posel Wojewódzki w roli nowego Azeffa*, zarzucający temu politykowi pozostawanie przed laty na usługach wywiadu. Oskarżenie nie było pozbawione racji i pikanterii zarazem. Wojewódzki, ongiś piłsudczyk, już po uzyskaniu w 1922 r. mandatu poselskiego informował swoich przyjaciół z II Oddziału o sytuacji w ruchu białoruskim. Czynił tak, ponieważ w tym czasie, jak wielu innym, wydawało mu się, że jakiegokolwiek zachowanie, które służy Marszałkowi, nie może kolidować z poczuciem honoru i lojalności. Reguła ta przestała jednak być honorowana przez jego dawnych kolegów, kiedy zmienił przekonanie i stanął na czele ściśle związanej z komunistami Niezależnej Partii Chłopskiej. Zdecydowano go zniszczyć. Owa misja przypadła w udziale właśnie Stpiczyńskiemu. Osobie, która służąc obozowi niejeden grzech brała na swoje sumienie i to niejednokrotnie cięższy niż przewinienie zarzucane Wojewódzkiemu. Symboliczną niemal wymowę miał też fakt, że komunistę atakował

człowiek posiadający w obozie opinię „czerwonego”, wręcz nieodpowiedzialnego w swoich pomysłach reformowania społecznej struktury państwa.

„W pierwszych dniach [po przewrocie — *D. N.*] — pisał cytowany już Singer — jest jeszcze mocno radykalny. Walczy z sejmem, z Kościołem, z obszarnikami, żąda amnestii dla wszystkich przestępców politycznych. Domaga się legalizacji partii komunistycznej. Z czasem jednak Wojtek ostygł”.

Nie mogło zresztą być inaczej. Przewrót majowy — zgodnie z deklaracją wodza — okazał się „rewolucją bez rewolucyjnych konsekwencji”. Nic się w kraju nie zmieniło, jeśli nie liczyć coraz wyraźniejszego flirtu sanacji z ziemiaństwem, nie świadczącego bynajmniej o jej przywiązaniu do ideałów demokracji.

W tej atmosferze musiały również ewoluować poglądy Stpiczyńskiego. Tym bardziej że coraz rzadziej przesiadywał w kipiących niezadowoleniem kawiarniach, a coraz częściej bywał na gromadzących najwyższych dygnitarzy rautach. W takich to okolicznościach spotkała go 11 listopada 1927 r. na Zamku Zofia Nałkowska: „Dużo jest tych sal, niektóre piękne, warta z obnażonymi szablami, lokaje w czerwonych frakach”. W tym wspaniałym, przepysznym tle, wśród orderów i akselbantów czuł się Stpiczyński jak ryba w wodzie. Sypał dowcipami, przedstawiał znajomym — jak zanotowała w dzienniku pisarka — „swoją śliczną, nowiutką żonę, dotąd panią Kniaziołuczką”.

Coraz bardziej wciągany w mechanizmy władzy wyzywał się dawnych radykalnych poglądów, chociaż ciągle uważany był przez kolegów za „radykała”. W tym czasie nie przeszkadzało to jeszcze w karierze. Zbyt świeża była pamięć o niedawnej „lewicowej” przeszłości obozu. Rządził więc Stpiczyński niepodzielnie „Głosem Prawdy”. Jemu też udzielił wywiadu Piłsudski ustępując w czerwcu 1928 r. ze stanowiska premiera.

Dni chwały i wpływów były już jednak policzone. Po przewodnictwo w obozie coraz zdecydowaniej sięgała grupa „pułkowników”, zwolenników twardego kursu. Jednym z przejawów uzyskiwania przez nią przewagi była ofensywa w dziedzinie prasowej. Tutaj zaś pierwszą ofiarą stać się musiał Stpiczyński. Niezależnie bowiem od ewolucji poglądów nadal wśród zwolenników Marszałka najbliższy był ideałom lewicy. W „Głosie Prawdy” zbyt często, jak na gust „pułkowników”, atakowany był Kościół, ziemiaństwo, wielki kapitał. Doszło to tego, że rzecznik prasowy Rady Ministrów oficjalnie oświadczył, iż „Głos Prawdy” nie ma „nic wspólnego z kołami miarodajnymi”, a na początku stycznia 1929 r. Zarząd Główny konserwatywnego Stronnictwa Prawicy Narodowej demonstracyjnie cofnął pismu subwencję za niepohamowaną krytykę ziemiaństwa.

Zaledwie w kilkanaście dni później „Głos Prawdy” doniósł, że redaktor Stpiczyński wyjeżdża za granicę na dłuższy urlop zdrowotny i przestaje chwilowo kierować gazetą. Zastanawiać musiało to, że w momencie kiedy zainteresowany docierał do południowej Francji, bez jego wiedzy zdjęto z pisma napis informujący, że jest ono wydawane „pod redakcją Wojciecha Stpiczyńskiego”.

Oficjalnym powodem odejścia była postępująca gruźlica, ale rzeczywiste przyczyny dymisji wiązały się ze zbyt daleko posuniętymi rozbieżnościami ideowymi pomiędzy Stpiczyńskim a „pułkownikami”. Ci ostatni umocnili się już na tyle, że przewodzący im szef BBWR Walery Sławek mógł spowodować odebranie adwersarzowi jego prasowej twierdzy i powierzenie czasowej nad nią komendy Adamowi Kocowi.

Kiedy w maju 1929 r. Stpiczyński wrócił z zagranicy, zastał sytuację jeszcze bardziej dla siebie niekorzystną. Przed paru tygodniami sformowany bowiem został pierwszy rząd „pułkowników”, kierowany przez Kazimierza Świtalskiego. Nowy premier, za radą Sławka, utrzymał przesunięcia personalne w „Głosie Prawdy”, pozbawiając je znamion tymczasowości.

Stpiczyńskiemu zaś nadal polecono się leczyć, chociaż kuracja francuska dała pozytywne rezultaty i była w zasadzie zakończona. Rafy polityczne okazały się jednak nie mniej szkodliwe niż prądki Kocha.

Jak często w takich sytuacjach bywa, by ostatecznie pognebić przeciwnika, zarządono reorganizację wydawnictw. Jesienią 1929 r. „Głos Prawdy” przekształcono w „Gazetę Polską”, utrzymując na stanowisku naczelnego redaktora Adama Koca. Stpiczyński nawet po urzędowym odzyskaniu zdrowia nie miał już gdzie wracać. Rzecz jasna, zbyt wielkie położył dla obozu zasługi, by koledzy nie obdarzyli go jakąś synekurą. Mieli w tym zresztą i własny interes. Chwilowo pogneębiony, wcale nie przestał być groźny i potrzebny. Nadal przecież posiadał cięte i bezlitosne pióro. Lepiej było znaleźć mu jakieś zatrudnienie, by oddalić nieodpowiedzialne pomysły.

Skierowano go więc do pracy w Związku Strzeleckim, paramilitarnej organizacji łączącej zadania obronne z ideowym pozyskiwaniem młodego pokolenia. W 1931 r. został redaktorem naczelnym popularnego tygodnika „Strzelec” i bardziej zorientowanej na zgłębianie myśli teoretycznej „Pracy Strzeleckiej”. Wiosną 1932 r. wybrano go nawet prezesem Zarządu Głównego Związku.

Był to sygnał, że wraca do łask. Istotnie, w parę miesięcy później ponownie pojawił się na Olimpie prasy piłsudczykowskiej, tym razem jako redaktor naczelny „Kurier Poranny”.

Pismo znalazło się wówczas w rękach silnej grupy politycznej, skupionej wokół jednego z „pułkowników”, Bronisława Pierackiego, piastującego funkcję ministra spraw wewnętrznych.

„Sfery miarodajne – pisał Singer – powołały ten organ dla urzędowego pełnienia funkcji opozycyjnych, uważając, że ani lewica, ani prawica nie umieją należycie spełniać swego obowiązku. »Kurier Poranny« miał zostać profesorem nauk opozycyjnych”.

Ile by nie było przesady w tej felietonowej ocenie, to do pełnienia takiej roli nadawał się Stpiczyński znakomicie. Wadził się z oficjalną „Gazetą Polską”, wbił szpile niektórym „pułkownikom”. Czynił to wszystko jednak w granicach wyznaczonych przez interes obozu. Bardzo gwałtownie np. atakował więźniów brzeskich, którzy przecież nie byli mu tak dalecy, zważywszy na ich

program zmian ustrojowych i społecznych. Ale nie mniej ostre słowa kierował pod adresem współzrządzających stronnictw konserwatywnych.

Po śmierci Piłsudskiego wszystkie swoje nadzieje związał z Rydzem-Śmigłym. Żadnemu innemu pismu nie udało się prześcignąć „Kuriera” w reklamowaniu generalnego inspektora Sił Zbrojnych jako męża opatrnościowego Polski. Popychał Stpiczyński Rydza w kierunku centrowo-lewicowej opozycji. On to skłonił generała do udziału w chłopskiej manifestacji w Nowosielcach. Trudno dociec, na ile zachowania te zdeterminowane były dawnymi sympatiami politycznymi, a w jakim stopniu przesądzała o nich chęć pogięcia rywali, pretendujących do spadku po Piłsudskim. Czy np. zwalczał (i to skutecznie) Sławka pamiętając o porażce z 1929 r., czy też z powodu jego konserwatywnej wizji społecznej?

Wyrastał redaktor „Kuriera Porannego” na szarą eminencję przy coraz bardziej wpływowym Rydzu. Otwarcie już mówiono o nim jako o „pewnym kandydacie na ministra”. Podobno śnił mu się fotel premiera. W każdym razie „Kurier” nie miał nic dobrego do powiedzenia o nowym prezesie Rady Ministrów Kościańskim. Niewykluczone, że dlatego, iż naczelny redaktor siebie widział na tym stanowisku.

Zmarł nagle 26 sierpnia 1936 r. w Paryżu, podczas przygotowywania zbliżającej się wizyty Rydza we Francji. Odszedł w momencie, kiedy znowu otwierała się przed nim perspektywa wielkiej politycznej kariery.